



Na krawędzi życia

Zasadniczym argumentem przeciwko samobójstwu nie jest ani tchórzostwo, ani kara Boża, ani nawet świętość życia. Najbardziej przekonującym argumentem przeciwko samobójstwu jest być może ten, że – niezależnie od tego, jak głęboki jest ból – większość ludzi tego nie robi, mimo że czują całą moc tej pokusy.

tekst
LAURENCE FREEMAN OSB

*W blasku ranka, w nocy cieniach
Ktoś się rodzi dla cierpienia
W cieniach nocy, w dnia jasności
Ktoś się rodzi dla radości
Ktoś się rodzi dla radości
Ktoś się rodzi dla ciemności*

William Blake, „Wróżby niewinności”,
przekład Józef Czechowicz

Nie ulega wątpliwości, że są wśród nas szczęśliwi ludzie, którzy przeszli przez życie, nie zastanawiając się nigdy nad możliwością wyboru dnia jego zakończenia. Sądzę – i mam nadzieję – że jest ich znakomita większość. Przypuszczam również, iż owi wybrańcy, zdając sobie sprawę ze swego szczęścia, cieszą się nim z wdzięcznością. To dzięki takim ludziom świat idzie naprzód. To oni dokładają drewno do ogniska nadziei zawsze wtedy, gdy ponurzy prorocy, jak autor Księgi Koheleeta, przekonują nas, że „marność nad marnościami – wszystko marność” – NIC oprócz bezsensownego cyklu istnienia, bez ostatecznej transcendencji. Jedna wielka sytuacja bez wyjścia.

Słodką radość i wieczną ciemność. Dwie diametralnie różne postawy życiowe, których korzenie wyrastają z dwóch ziaren w ludzkim sercu. Które ziarno wykiełkuje jako pierwsze, które zdominuje – zależy od kultury, okoliczności i genów. I choć są one jak dwa przeciwległe bieguny, to jednocześnie nierozdzielnie blisko siebie. Oto yin wpływa w yang a yang w yin. Nie ma takiej logiki, przy pomocy której jedno z ziaren zwycięży nad drugim. Oba z nich są prawdziwe, choć każde głosi swą własną prawdę.

Czy możliwe są różne rodzaje prawd?

Wyobraźmy sobie noc, wieżowiec w Nowym Jorku, a w nim sąsiadujące ze sobą mieszkania. W jednym z nich młode małżeństwo w wielkim cierpieniu mierzy się z rozpadem swego związku. W następnym zasypia dziecko, otoczone darem miłości obojga rodziców. W mieszkaniu na piętrze ktoś samotny rozważa końcowe stadia swej śmiertelnej choroby i jego umysł w ciągu kilku sekund przechodzi od paniki do spokoju. W tym samym czasie na parterze ktoś ogląda telewizję...

Tak, istnieją różne rodzaje prawd. A jednak istnieje też jedna, w której zawarte są one wszystkie. Jest jak oko, które widzi wszystko – ze współczuciem lub bez niego, w zależności od tego, jak naucza twoja religia.

* * *

Ale poznać tę prawdę nie jest łatwo. Dlatego, by uporać się z gorzkim ziarnem ciemności w sobie, nie pozostaje nic innego, jak polykać je w dawkach, które każdemu z nas racjonuje własne życie. Posiane w momencie poczęcia, leży niewinnie w ludzkim sercu obok swej siostry bliźniaczki – ziarna światła. Pewni ludzie będą bardziej niż inni narażeni na jego skutki. Gdy zbudzi się do życia i wzrostu, to z całą siłą przyniesie ze sobą uczucie rozpacz, nieodwracalnej straty czy radykalnej porażki, połączone z przekonaniem, że NIC w życiu nie było warte życia, że znalazłeś się bliżej jego końca niż początku. Ogarnia cię mroczna intuicja, że jeżeli przestaniesz w tej chwili istnieć, to fakt ten wzbudzi jedynie drobną perturbację w państwowym rejestrze obywateli i nikt nie uroni po tobie jednej lzy. Spojrzenie wstecz na przeżyte lata jawi się jako lista tanich nalepek sukcesu, fałszywie doczepionych do nieustannego ciągu klęsk.

Wszyscy robimy takie rejestry zysków i strat, ponieważ ezgorcyzmują one z nas demony rozpacz, które wypieramy – z lepszym bądź gorszym skutkiem – gdy tylko się pojawiają. Nikomu nie są oszczędzone ich ataki, nawet wspomnianym szczęśliwcom tego świata. Niosą one ze sobą myśli, które w chwili ich zaistnienia ukazują niezaprzeczną i nie do uniknięcia prawdę, a zawarta w nich niszcząca moc nie może być pokonana ani logicznym argumentem, ani siłą woli. Można tylko w ich obliczu rzucić się do ucieczki, wyprzeć się ich. Bo po co nacierać na szarżującego, niemiłosiernego przeciwnika, gdy się wie, że wynikiem starcia będzie totalna klęska. Będzie nim samobójstwo.

NASZE WIERZENIA W TO, CO CZEKA

Albert Camus uważał, że samobójstwo jest jedynym prawdziwym filozoficznym pytaniem. Sprowadza się ono do zasadniczego „Po co się męczyć?”. Często tak uważamy, gdy walą się nasze plany bądź spotyka nas zawód ze strony tych, którym zaufaliśmy. Zwykle myśl ta znika bez naszego udziału równie szybko, jak się pojawiła, i na nowo wstępuje w nas nadzieja. Pojawia się nowy plan, nowa relacja, zapominamy o przeszłości i znowu inwestujemy w przyszłość. Ale zdarza się, że myśl „wszystko to marność” uparcie powraca i wówczas wydaje się, że „wszystko” naprawdę znaczy wszystko. Zdobywa ona przyzwolenie woli i staje się uczuciem, które nie opuszcza już nigdy – leży na łożądku jak ołowiana kula. W tym momencie kończy się filozoficzna dywagacja i zaczyna fizyczna opresja, trucizna we krwi i błona na oczach, zduszenie

naszych zdolności radowania się i smakowania czegośkolwiek.

Gdzie szukać ratunku od tak nieszczęsnej egzystencji? Ci, którzy cierpią z jej powodu – albo chwytają się czegośkolwiek, albo z rezygnacją poddają się, tracąc nadzieję na jakąkolwiek pomoc. Dla tych nieszczęsnych dusz religia, terapia, wzmożona aktywność, całkowita bierność, wielu przyjaciół lub zupełna izolacja mogą być tylko chwilowym antidotum na rozpacz. Podczas gdy inni odwracają uwagę od depresji, koncentrując się na obowiązkach, dzieciach, czy powołaniu, oni nie dają sobie rady i każdy kolejny zawód jeszcze bardziej utwierdza ich w głębokim i wzrastającym poczuciu klęski i bezsensu pozostawania przy życiu.

* * *

Prozac zmienia świat. Nowy, odważny świat chemicznych struktur zastępuje świat, w którym zabrakło nadziei. „Dlaczego nie?” zastępuje „Dlaczego się męczysz?”. Medyczni alchemicy „wyczarowujący” antydepresanty przyznają, że sami nie do końca rozumieją, jak one działają, ale jednocześnie zapewniają, iż działają naprawdę. Z czasem jednak pojawiają się skutki uboczne, a poczucie ocalenia przeraża się w „dając sobie jakoś radę”, gorzej lub lepiej niż do tej pory. Jednak to tylko „dawanie sobie rady”, a nie życie naprawdę, bowiem jeśli rdzeń poczucia braku sensu pozostaje nieusunięty, to ów bezsens daje się w końcu odczuć z całą siłą, chociaż to, że „dajemy sobie radę”, powinno pomagać w kontroli nad życiem. Firmy farmaceutyczne coraz częściej, aczkolwiek niechętnie, wstępują się w głosy, że antydepresanty być może mają związek ze wzrostem ryzyka samobójstw.

W prowincji Quebec, gdzie mieszkałem przez kilka lat, spotkałem wielu ludzi, którzy uważali, że ich sezonowe depresje podczas długich, mroźnych i ciemnych zim były spowodowane niedoczynnością przysadki mózgowej. Ten mały (wielkości orzeszka arachidowego) gruczoł dokrewny, usytuowany wewnątrz organizmu, kontrolujący na przykład biorytmy zmieniające się pod wpływem światła i ciemności. Wydawał się więc idealnym „kozłem ofiarnym”, sprawcą depresji północy. Lekiem na całe zło miała być odpowiednia stymulacja tego gruczołu, którą miało zapewnić codzienne doświetlanie lampą UV. Ale gdy nadchodziła wiosna i depresje nie ustępowały, wtedy gęstniała wewnętrzna ciemność i nadzieja na uzdrowienie mijała bezpowrotnie.

Więc może to „poczucie sensu” potrzeba nam bardziej niż złudnych nadziei, by przerwać groźną inkubację ziarna ciemności? Wiktor Frankl odkrył, że ci,

którzy przetrwali Auschwitz, posiadali coś, dla czego warto było żyć. Sens istnienia stał się dla nich celem istnienia.

Z kolei fenomenalne studia Balfoura Mounta w dziedzinie medycyny paliatywnej pacjentów rozważających zakończenie swojego życia pozwoliły wyciągnąć wnioski, że poszukiwanie sensu jest w swej istocie poszukiwaniem związków. Mount odkrył, że poczucie sensu wzrastało wraz z nawiązywaniem „leczących związków”, poprzez które odnajdujemy jedność z czymś większym i trwalszym niż to, co odczuwamy jako swoje „ja”.

NAS PO ŚMIERCI, OPIERAJĄ SIĘ NA TYM,

Gdy te związki zostają nieodwracalnie zniszczone – pojawia się poczucie braku sensu życia. Ból nastaje wewnętrznej ciemności staje się zbyt wielki, by go udźwignąć. I to nie jest jedynie kwestia samotności, bowiem ludzie ci w swej niekończącej się wewnętrznej nocy mogą być otoczeni kochającymi przyjaciółmi. Może to świadomość pogrążania się w zupełnej ciemności na wskroś przenika ich dusze, a wiedza, że nie ma dla nich ratunku, prowadzi ku czarnej fascynacji myślą zakończenia wszystkiego? Umysł jeszcze próbuje ważyć racje: „Po co dalej tak żyć, gdy jeden akt odwagi może zakończyć cały problem?”, „Cokolwiek leży po drugiej stronie, nie może być gorsze od tego tutaj”, „Nawet ci, których zranię tym, co zrobię, zrozumieją w końcu, że to nie jest ich wina i przebaczą mi, gdy uwolnię ich od swojego ciężaru”. „To tylko sumienie czyni ze mnie tchórze, lecz czym jest sumienie wobec tego, co czuję? Niech i ono odejdzie w ciemność. Jeżeli Bóg istnieje, to zrozumie i przebaczy. Gdybym miał być potępiony na wieczność, cóż to byłby za Bóg?”.

Ktoś, kto myśli o skończeniu ze wszystkim, nie czyni tego systematycznie. Gdyby tak robił – już byłby na drodze wyjścia z depresji. Podobnie gdyby o tym pisał, malował, śpiewał czy rzeźbił – to już sam akt ekspresji nie-do-zniesienia ciemności byłby rodzajem jej znoszenia, bowiem rozpacz, tak samo jak wiara czy nadzieja, nie opiera się na logicznych racjach. Rozpacz to jakaś głębiej wyczuwana wiedza, która w gruncie rzeczy sama w sobie jest formą mrocznej nie-wiedzy. Dzisiaj myślenie o skończeniu ze wszystkim doprowadziło do powstania stron internetowych wspomagających potencjalnych samobójców. Ale i one – paradoksalnie – mogą stać się zarzewiem myślenia w przeciwnym kierunku: „Więc jest wielu takich jak ja. Nie jestem sam. Może mogę podzielić się moim bólem i potraktować go

jako łączący mnie z innymi most empatii”. Jednak bardziej prawdopodobne – że myślenie o tym, „jak to zrobić”, przerodzi się w obsesję. Może ono stymulować przez jakiś czas, wzbudzać nawet entuzjazm, być drogą samodramatyzacji i – w konsekwencji – ucieczki od popełnienia samobójstwa. Jednak w końcu uporczywy, szepczący do ucha głos nie daje się już dłużej uciszać: „Więc po co to całe planowanie i rozmyślanie? Dlaczego po prostu tego nie zrobić?”.

* * *

Kiedy już myślenie o tym jest zbyt bolesne, to jedynym sposobem na skończenie z jego bólem staje się odebranie sobie życia. Cierpienie i niemoc wyrażenia go w żaden inny sposób stawia samobójców poza wszelkim osądem, a z pewnością poza osądem ludzkim. Odwieczna stygma i zakazy kościelne, na przykład odmowa pochówku w poświęconej ziemi, nie dotykają ich już w żaden sposób; cementują one jedynie społeczne tabu. Uczynić krok i opuścić własne życie jest w istocie społeczną zbrodnią, ponieważ wszyscy do siebie należymy. Ale gdy ktoś czuje, że już nie przynależy i że już nigdy nie zajmie miejsca w społecznej strukturze, to jest to jedynie zbrodnia na papierze – zapisana w kodeksach społeczności. Pozostaje po nim tylko grobowa, długa cisza, fragmenty połamanych ludzkich istnień, które przyjdzie składać długie lata tym, którzy zostali sami... Smutne marnotrawstwo, nieprzeżyte życie, poza dobrem i złem, w otchłani niebytu, gdzie niesprawiedliwa religijna wyobraźnia umieszcza tych, co odebrali sobie życie. Nieskończona pustka.

Ale w buddyjskim rozumieniu pustka to nie to samo co nicość. Jest to wrodzona część natury rzeczy: wszystko jest puste, ponieważ wszystko jest niestałe i współzależne. A ponieważ jest to jedna z prawd, jeśli nawet nie ta najprostsza, wszystko obejmująca Prawda-Prawd – stąd wgląd w nią i jej doświadczenie prowadzą do szczęścia.

Jednakże ten konieczny do wglądu w naturę rzeczywistości rodzaj pustki jest bardzo wstępnym etapem w procesie oświecenia. Bo jest jeszcze ciemna noc ducha, negatywna pustka, poczucie osamotnienia i bezsensu... Święta Teresa z Lisieux w trakcie swej przewlekłej choroby często myślała o samobójstwie. Prosiła, aby nie zostawiać przy jej łóżku niczego, czym mogłaby się otruć, bowiem dobrze rozumiała, dlaczego ci, którzy nie wierzyli w Boga, mogli wybrać taką opcję. Głęboka refleksja nad tym uczuciem, jak to czynili św. Jan od Krzyża i inni chrześcijańscy mistycy, to nie są li tylko akademickie dywagacje. Jest to spoglądanie w pusty grób i niekończący się płacz. Pa-

trzenie w głąb bez jakiegokolwiek pociechy – w myślach czy też w wyobraźni – oto co boli najbardziej.

Dlatego przekonanie kogoś stojącego na skraju dachu wieżowca, by nie skoczył, to pełna sztuki sztuka. Łapałbyś się wtedy jakiegokolwiek myśli, sztuczki czy oszustwa, by zaświecić światelko w ciemności, rzuciłbyś na szalę poczucie winy i miłość do tych, którzy pozostaną w bólu. Ale nawet gdy się taka próba uda i ów człowiek „spadnie” z powrotem w życie, to jest to dopiero początek prawdziwie ciężkiej pracy.

Bo cóż w tym momencie negatywnej pustki znaczyło owo „skończenie ze wszystkim?”.

A co, jeżeli ten punkt rozpacz i nie do zniesienia lęku, które uczyniły życie fizyczne (*bios*) pustą muszlą i bezsensownym ciężarem, nie jest końcem wewnętrznego życia duszy (*zoe*)?

Co wówczas, gdy dotarcie do tego punktu zupełnej pustki jest jak dotarcie na krawędź urwiska w mglistą noc i gdy niedostępna dla oka przestrzeń pod tobą okaże się rozprzestrzeniającą się bezgraniczną pustką, wypełnioną samoogalającą się miłością, tym większą, im więcej ona z siebie daje?

Skoczyć w nią... Stać się nią. Tak! Tylko jak?

* * *

Jest wiele sposobów na zakończenie życia. Skok z wieżowca, połknięcie tabletek... To kończy ból i stwarza jeszcze większy. Cóż jeszcze da się z całą szczerością tutaj powiedzieć? Nie napisano dotąd żadnych przewodników po hamletowskiej „krajnie, skąd nikt nie wraca już”. Zasadniczym argumentem przeciwko samobójstwu nie jest ani tchórzostwo, ani kara Boża, ani nawet świętość życia. Bo jeżeli życie jest darem, którego nie mamy prawa odmówić, to cóż to za okropny rodzaj daru? Jest ciężarem i mamy wszelkie prawo z niego zrezygnować. Najbardziej przekonującym ar-

CZEGO DOŚWIADCZAMY „TUTAJ I TERAZ”,

gumentem przeciwko samobójstwu jest być może ten, że niezależnie od tego, jak głęboki jest ból, większość ludzi tego nie robi, mimo że czują całą moc tej pokusy. I być może jest tak, że wielu w swej próbie zwrócenia na siebie uwagi, krzycząc o pomoc, doszło zbyt blisko urwiska i tylko przez nieszczęśliwy wypadek – a nie dlatego, że mieli taki zamiar – wypadło poza jego krawędź.

Racją przeciwko samobójstwu jest także to, że jest ono sprzeczne z naturą i jest *nie-rzeczywiste*, bo niemożliwym jest umrzeć do końca. To jest argument przeciwko samobójstwu, przy jednoczesnym legislacyjnym przy-

znaniu prawa ludzkiej godności do dokonania wyboru. Jednak ograniczanie sporu o wolność wyboru tylko do poziomu racji i praw mija się z jego sednem. Bo czy na przykład polityczna debata o wolności zażywania narkotyków dotyka pytania, dlaczego epidemia nadużywania narkotyków charakteryzuje nasze społeczeństwo i dlaczego „wojna z narkotykami” skazana jest na niepowodzenie? Podobnie czysto legislacyjne argumenty o prawie do eutanazji mijają się z problematyką znaczenia śmierci i znaczenia cierpienia. Ich zrozumienie byłoby ogromnym wsparciem dla akceptacji naturalnej drogi zakończenia życia. Jak bowiem prawo cywilne może wyrazić sens ekstremalnego cierpienia „niekończącej się nocy”? Jak poza kontekstem duchowości można zaakceptować to, co najważniejsze: że wszechogarniające cierpienie może być wyrazem pęknięcia ziarna jaźni? Istotnie, jeżeli to ziarno nie obumrze, nie wyda swego pełnego plonu. Uświadomienie tego komuś w głębokiej rozpacz jest naszym ludzkim obowiązkiem, lecz sposób powiedzenia może być bezslowny.

* * *

Nasze wierzenia w to, co czeka nas po śmierci, opierają się na tym, czego doświadczamy „tutaj i teraz”, i wynikają z natury rzeczywistości oraz znaczenia miłości. Ta empirycznie usadowiona wiara determinuje to, jakie zakończenie własnego życia wybierzemy. Bo jest też inny sposób skończenia ze wszystkim: świadome obserwowanie w sobie pęknięcia ziarna jaźni i zaakceptowanie tego jako własną śmierć. To tak, jakby skoczyć ze wszystkimi porażkami i niespełnionymi marzeniami w pustkę, wiedząc doskonale, że nie zostaną one przemienione w sukcesy i spełnione nadzieje, lecz w niej strawione. To tak, jakbyś ty sam został strawiony. Tak też można zakończyć swe życie.

I WYNIKAJĄ Z NATURY RZECZYWISTOŚCI

Jest to nieunikniony wybór, o jakim należy przypomnieć zrozpaczonej duszy. Jest to coś, za czym tęsknią zarówno potencjalny samobójca, jak i potencjalny zakochany w Bogu mistyk. Można ten fakt zaakceptować lub odrzucić, ale i tak pozostanie on losem człowieka. Ulga z rozwiązania sytuacji granicznej może przybrać jedną z dwóch form: samobójczą śmierć ciała lub „samobójczą” śmierć wewnętrzną. Obie zaowocują różnymi rezultatami, przynajmniej tak widzimy to my, z tej strony ciemnej doliny śmierci. Tak czy inaczej, nic w nas nie pozostanie oprócz tej części nas, która się całkowicie ogołoci, ponieważ tylko ona jest zdolna do poznania siebie samej i poznania Boga.

Dlaczego więc mamy wybrać ciężką pracę codziennej wytrwałości i pójść długą i wąską ścieżką kontemplacyjnej duchowej praktyki? Dlaczego wybrać właśnie tę, która – jak nam powiedziano – „prowadzi do życia”, zamiast szybkiej i krótkiej, ale ślepej uliczki, na której tylko kończy się nie do wytrzymania egzystencja? W społeczeństwie, w którym liczba samobójstw ciągle rośnie, szczególnie wśród ludzi młodych, musimy zadać sobie pytanie: jak proces edukacji przygotowuje nas na ten ludzki dramat? Co mają w sobie i z czego mogą czerpać ci, którzy dotrą do punktu przerażającej jasności rozumienia, że są już w całkowitej ciemności? Czy mają jakąś pamięć kogoś, kogo życie przekazano im poprzez tradycję duchową, zbiorową subtelny świadomość i mistyczny przekaz, że ten moment ciemności musi być przyjęty, a nie uniknięty? Musi być przyjęty, ponieważ nie może być uniknięty: „człowieku, musisz umrzeć, to jest odwieczne przymierze”, i nawet popełniając samobójstwo nie unikniesz tego. Tyle tylko, że śmierć ma dwa wymiary – biologiczny i duchowy.

A zatem umrzeć trzeba. Ludzka natura i pradawna mądrość podpowiadają nam, że przez śmierć można przejść, niekoniecznie pragnąc jej jako nagłej. Prawdopodobnie nawet po zakończeniu biologicznego życia przyjdzie nam umierać dalej. I jakkolwiek długa będzie śmierć duchowa, to „umieranie jaźni” stopniowo będzie prowadziło do wzrostu w Jaźni. W miarę jak postępuje taka śmierć, otwiera ona nowy rodzaj życia, nawet tego tutaj, na ziemi, dotąd tak nieszczęśliwego. Znałem śmiertelnie chorych, którzy jak św. Teresa pragnęli umrzeć i wydawało się bardzo ludzkie zezwolić im na to. Wierzę, że nie możemy zabronić im tej wolności wyboru, chociaż nie jestem pewien, czy ta duchowa wolność musi być ubrana w materialność kodeksu prawa. W społeczeństwie, które straciło sens wolności, żyjemy pod przymusem dążenia do legalizacji wszystkiego. Ale jakie prawo, przy akceptacji wspomaganą przez państwo eutanazji, może zapewnić ochronę najbardziej upośledzonym w taki sposób, by nie pozbawić ich wszystkiego, co nauka i humanitaryzm mogą im ofiarować? Widziałem zrozpaczone dusze, które najpierw chciały skończyć z życiem, by potem – na moich oczach – przemienić się w jego ostatnich stadiach w pełni kochające istoty, które głośno chwaliły tego świata po prostu swoją w nim obecnością. I miały świadomość swego przeistoczenia. Naiwnością byłoby twierdzić, że tak będzie zawsze, jeśli tylko zabronimy wspomaganego samobójstwa. Tak samo nikt nie może twierdzić, że każdy, kto medytuje (bo medytacja to codzienne umieranie dla samego siebie), zamieni się w świętego czy w Budde.

Ale wydarza się to wystarczająco często, w różnym stopniu, by można było twierdzić, że pragnienie zakończenia życia może być spełnione w inny niż fizyczny sposób. Różnica między tymi sposobami jest różnicą między „rodzeniem się dla ciemności” a „rodzeniem się dla radości”. Tak, są tacy, którzy są szczęśliwi i są tacy, którzy są nieszczęśliwi. A jednak, poza tym rozróżnieniem spowodowanym przez Los, poza wyborem między śmiercią i narodzinami, znajduje się rozwiązanie tych dwóch sprzeczności i to właśnie ono stanowi istotę Zmartwychwstania.

ORAZ ZNACZENIA MIŁOŚCI.

Kilka tajemniczych fragmentów kończących Nowy Testament wystarczyło, by dać impuls religii radykalnej nadziei, nadającej sens temu, czym jest Zmartwychwstanie i potwierdzającej, że jest ono przeznaczone dla każdego. Nie pokazano nam zmartwychwstałego Chrystusa pijącego drinki, uprawiającego miłość na plaży czy grającego na gitarze pośród pięknych ludzi. Zamiast tego wielka tradycja utrzymuje, że Ten, który złożył swe życie w ofierze i pozwolił na jego zakończenie, sam go nie przerwał i jest „w pełni żywy”. Jego stan szczęśliwości sprawia, że rewidujemy nasze definicje i znaczenie szczęścia. Tym samym odsyła nas to do przeinterpretowania pojęcia nie-szczęścia i dopuszczenia możliwości, że „cienie nocy” i „jasność dnia” – tak różne – mogą zawierać wspólny sens, który jest sensem wszystkiego.

Jedyną odpowiedzią na tak usilne pragnienie śmierci jak samobójstwo jest umrzeć. Pozostaje pytanie: jak? Czego nam potrzeba, gdy został osiągnięty stan tak dalekiej desperacji? Nie stron internetowych wspomagających potencjalnych samobójców, nie zalegalizowanej eutanazji, lecz pełnych przyjaźni nauczycieli, uczących na kontemplatywnej ścieżce życia prawdziwie ludzkiej sztuki umierania. Mój nauczyciel John Main w swym ostatnim publicznym wystąpieniu, na krótko przed swoją śmiercią, powiedział: „Napełnia nas lękiem paradoksalna sytuacja, w której mamy stawić czoło dwu przeciwstawnym, a jednocześnie związanym ze sobą nierozzerwalnie siłom. Towarzyszy nam pokusa, aby zignorować jedną z nich. Gdy zapominamy o śmierci, wtedy swoje życie skazujemy na spływanie i odrealnienie. Gdy zaczynamy ignorować życie, skazujemy się na egzystencję pełną niepewności i desperacji. Musimy odnaleźć to, co zarówno święty Benedykt, jak i Budda nazwali drogą środka, musimy odnaleźć centrum, podstawę, środek ciężko-

ści, w którym przeciwności mogą się spotkać, pozwalając energii przepływać pomiędzy biegunami paradoksu: przepływać przez nas, napełniając nas mocą – czyniąc nas w pełni ludźmi. Śmierć to najbardziej powszechne i nieuniknione doświadczenie, które spotyka każdego człowieka. Musimy przygotować się na naszą drugą śmierć, śmierć ciała, w sposób równie indywidualny, jak i całkowity. Musi to być proces obejmujący całe nasze jestestwo. Umieranie dla siebie, pierwsza śmierć, następuje w medytacji. Nazywamy ją podróżą do najtajniejszego zakątka naszego wnętrza, podróżą ponad naszymi ograniczeniami. Jest to prosta droga, ale niekoniecznie łatwa. Wymaga zaufania i być może podjęcia pewnego ryzyka, by ją rozpocząć; wreszcie wymaga odwagi, by wytrwać, ale przede wszystkim wymaga pokonania naszych własnych ograniczeń.

Gdy powtarzamy naszą mantrę, umieramy dla tego, dla czego najtrudniej jest w świecie umrzeć. Umieramy dla egoizmu, dla koncentrowania się na sobie, a wychodzimy poza świadomość siebie. Ja przyszedłem po to – mówi Jezus – aby owce miały życie i miały je w obfitości (J,10,10). Gdy umieramy dla siebie, wtedy rodzimy się dla życia, które zaskakuje nas swym nieskończonym bogactwem, cudownością i, ponad wszystko, absolutną wolnością ducha. Medytacja jest uzdrawiającym procesem. To, co mamy uzdrowić to podstawowa choroba, na którą cierpimy wszyscy: choroba rozdwojonego ja, która rozdziela nas od samych siebie, od innych ludzi, od Boga – a także od pełni naszych możliwości.”*

Tylko tacy nauczyciele mogą pokazać cierpiącej duszy, jak umierać w pełni po ludzku, niezależnie od tego, czy pozostało nam do przeżycia kilka tygodni w hospicjum, czy też bliżej nieokreślona liczba lat w naszej codzienności. Tylko oni mogą nam powiedzieć, w jaki sposób nauczyć się śmierci, jak ją pokochać i zrozumieć – zamiast się jej bać. Jak kochać śmierć i życie jednocześnie... Jak nie przyspieszać czegoś, co ze swej natury ma być wyczekiwane... Takich nauczycieli potrzeba nam dziś najbardziej.

Tłumaczenie Andrzej Ziolkowski

* Zaczerpnięto z John Main Chrześcijańska medytacja (Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 1995, tłum. Grzegorz Kowalewski i Renata Ramus).

LAURENCE FREEMAN OSB jest benedyktynem. Był uczniem Johna Maina OSB, wraz z którym rozpoczął dzieło nauczania medytacji w tradycji chrześcijańskiej. Od 1992 roku kieruje ruchem World Community for Christian Meditation, za którego pośrednictwem jego nauka rozpowszechnia się na całym świecie. Jest autorem wielu książek poświęconych medytacji.